

...

Zbychu, został tu przecież Twój kapelusz...
Ty wzięłaś cząstkę każdego z nas i wyszedłaś...
Tak akurat teraz postanowiłaś i jak zawsze dopięłaś swego.
To Twój góralski charakter i upór.
Co też na to teraz powiedzą Twoje góry
Dostałaś pewnie dobrą robotę. Tam w górze. Tam w Niebie.
Niebo trzeba popoprawiać i Tobie to zlecili.
Liczy się solidność, talent, pracowitość.
Tę robotę to najpewniej za zasługi dostałaś.
Naprawiałaś Ty się Nieba i Świętych jak mało kto.
Niby Niebo takie idealne, a Święci tacy święci.
Ty zawsze jednak znalazłaś jakąś rysę, jakieś odbarwienie, jakiś ubytek.
I poprawiałaś. I naprawiałaś.
Cierpliwie.
Zapracowałaś sobie solidnie na Nieba wdzięczność.
Choć z niebem jak to z niebem. Czasami świeci słońce, czasami jest burza...
I jakby Ci było jeszcze mało zasług, to przez dziesiątki lat śpiewem chwaliłaś Najwyższego.
Nie tylko chwaliłaś. Uczyłaś śpiewem chwalić Boga innych.
Bo pewnie gdyby nie Ty,
Twoje ciepło
Twoja miłość do życia, do wszelkich jego przejawów, nie zatrzymali by się w chórach, albo by
szybciej z nich odeszli.
A ty realizowałaś przecież wolę Najwyższego.
Może nawet niekiedy byłaś tego nieświadoma.
Ale byłaś jego narzędziem.
Jak długo czy pędzel w Twych rękach przy konserwatorskich pracach.
Rzeźbiłaś charaktery, malowałaś świat.
Pozłacałaś wiedzę.
Jak niełatwe narzędzie obsługiwane ręką samego Mistrza...

Zbychu, został tu przecież Twój kapelusz...
I jeszcze wiele spraw...
Wystaw do objaśniania.
Tak jak wtedy w Muzeum Narodowym, przy obrazach Turnera,
albo także tam, przy grafikach Goyi.
Szczęściem było korzystać z Twojej wiedzy.
A Ty tak blisko tych dzieł, tak je rozumiejący i tłumaczący.
Wiedzy, która wszystkim nam pomagała.
Bez internetowych wyszukiwarek dawaliśmy radę.
Mieliśmy Ciebie.
I jeszcze wiele imprez na których okazywałaś swój talent.
Nawet wtedy, gdy jako chór zjawiliśmy się zaproszeni na pole golfowe.
Tam w konkursie na Greenie okazałaś się najlepszy.
Pierwszy raz w życiu trzymając kij golfowy, pokonałaś nas wszystkich.
Pokazałaś nam co to znaczy precyzja i spokój.
A imprezy, które dzięki Tobie przeradzały się we wspaniałe spotkania.
Bo znałaś tak wiele pieśni i piosenek.
Młodzi, którzy Cię słuchali, byli jak winne grona na krzewie winorośli, skupieni wokół Ciebie...

Zbychu, został tu przecież Twój kapelusz...
A Ty ruszyłeś w drogę.
Dalszą i dłuższą, niż ta o której przejściu marzyłeś ...
Do Camino, Drogą Jakubową...
Co tam jednak, Ty nią podróżowałeś wielokrotnie
Podjąłeś większe wyzwanie.
Twoje nogi zaliczyły drogę będącą wielokrotnością tej szlakiem Świętego Jakuba.
Tak naprawdę do Camino szedłeś każdego dnia.
Po niemieckiej autostradzie wiele lat temu, spóźniony na wyjazd
I ze swego osiedla na próbę chóru, każdej środy
Szedłeś w poszukiwaniu i pragnieniu życia.
Niezależnie od pogody.
Do tych kilometrów dokładałeś swe nocne powroty ze Śródmieścia do Huty.
Bo byłeś kibicem.
Wracałeś z oglądania sportu na ekranie, w pubie czy kawiarni...
Cały czas byłeś w drodze...
To było Twoje podróżowanie do Camino...
Jak w tekście pieśni o tym:
*Bogaty, ubogi
używa tej drogi
bo każdy u Boga jednaki,
z bagażem problemów
w nadziei na Niebo
prostuje życiowe swe szlaki...*

Zbychu został tu przecież Twój kapelusz...
I mocny uścisk Twej dłoni, którym witałeś każdego z nas...
I Twoja sylwetka pochylona nad książką, w każdym możliwym momencie do jej czytania...
I Twoje prace i pasje niedokonane i niespełnione jeszcze
I kieliszek z czerwonym winem.
Butelka Rioja.
Twój ulubiony hiszpański smak i klimat...
I miejsce w Nowej Prowincji na Brackiej...
A Ty jak wspaniały zagłowiec z kart książek Twego ulubionego Josepha Conrada oddaliłeś się...

Zbychu został tu przecież Twój kapelusz...
i nasze kruche pozostawanie tutaj
Przyjacielu
Czekaj swego kapelusza...
I nas...

Janusz Czerwiec fazi